



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mirosław Górski

Wojna Niemiec z Polską

W piątek, pierwszego września 1939 roku wracałem rano od piekarza, niosąc chleb i bułki. Szedłem ulicą wśród wysokich drzew, jakie pozostały po rozparcelowanym parku dworskim. W końcu drogi, gdzie stał nasz dom, odsłaniał się widok na ogrody, jednorodzinne domy i niebo. Właśnie na tym niebie zobaczyłem pojedynczy samolot, lecący dość nisko na zachód w kierunku Łodzi. Poznałem go natychmiast. Rozróżniałem dobrze samoloty, bo pasjonowałem się budową modeli. Rozczytywałem się w planach samolotów polskich i zagranicznych, których rysunki lub opisy wpadły w moje ręce. Sylwetki najważniejszych znałem na pamięć, a to bez wątpliwości leciał He-111, bowiem tylko ten typ miał zwężone, jakby podcięte przy kadłubie skrzydła, kabinę strzelca skierowaną w dół, dwa rządowe silniki i pojedynczy, pionowy ster, kształtu płetwy rekina. Był to najszybszy ówczesny bombowiec, znacznie szybszy od naszych myśliwców.

Jeszcze dobrze nie ochłonałem, a za Henklem wykwitły dwa czarne kłęby od wybuchów polskich pocisków przeciwlotniczych. Były one jednak zbyt odległe, więc zupełnie nieskuteczne. Patrzyłem jak urzeczony co będzie dalej. Widoczność była wspaniała, o parę kilometrów stąd wyrastały setki kominów fabrycznych polskiej stolicy włókna. Nie działa się nic – samolot leciał spokojnie, prościuteńko. Ani artylerii, ani myśliwców. Wtedy odczułem pierwszy skurcz gardła. Nie mieściło się w mojej głowie, że nad polskim, wielkim miastem, może na małej wysokości latać bezkarnie pojedynczy, nieprzyjacielski samolot. Mamy więc wojnę. O tym, że dojdzie do niej byłem przekonany całkowicie. Atmosfera zaczęła gęstnieć już od zatargu z Litwą, potem nastąpiły korekty granicy czeskosłowackiej, akceptowane przez nas z entuzjazmem, jako że Czesi wykorzystali naszą wojnę polsko-bolszewicką do uzyskania naszych terenów. Najbardziej cieszyło mnie przeniesienie granicy na najwyższe szczyty Tatr: Wysoką, Ganek, Gerlach – tak, jak było od wieków.

Wiosną zebrały się wszystkie klasy na korytarzu szkoły, aby wysłuchać przez głośnik mowy Becka. Po słowach: „od którego Polska odepchnąć się nie da”, zapanował wielki entuzjazm. Tak wśród dzieci, jak i wśród nauczycieli gratulacjom i uściskom rąk nie było końca. Od czasu do czasu na lekcje do klas piątych, szóstych i siódmych przychodził kierownik, zwykle w towarzystwie nauczyciela-oficera rezerwy lub kierownika Strzelca, czy druha ZHP. Prowadzili między sobą rozmowy na tematy polityczno-patriotyczno-wojskowe, a my słuchaliśmy jak urzeczeni. Wtedy dowiedziałem się, że Rosją to kolos na glinianych nogach, że nasza armia samodzielnie może powstrzymać agresję niemiecką, gdyż w obronie wystarcza stosunek sił 1:3, a my jesteśmy silniejsi, że Francja ma tyle czołgów, samolotów i wojska, co Niemcy, nie mówiąc już o wojskach kolonialnych, a że Anglia to przecież największa potęga świata. Niemcy będą musieli walczyć na kilku frontach. Nie mają co jeść, żywność u nich na kartki. Jedzą

margarynę i inne paskudne „ersatze”, do tego nie mają ropy naftowej, chromu, miedzi. Na zapasach długo nie pojadą. Wojna skończy się szybko na naszą korzyść. Byliśmy bardzo podbudowani, gotowi na każdy wysiłek i każde poświęcenie. Na korytarzu szkolnym wywieszono plansze z okrętami. Na pamięć znałem ich nazwy, szybkość, uzbrojenie i sylwetki. Moim ukochanym okrętem stał się najnowocześniejszy na Bałtyku kontrtorpedowiec „Grom”. Przystąpiłem do budowy jego modelu z blachy cynkowej w skali 1:100. Powieszono również wycinki z gazet o zapisach na żywe torpedy. Za przykład podawano pięcioletnią dziewczynkę. Uznałem to jednak za bzdurę, bo o ile znałem się na rzeszy, nie mieliśmy w polskiej marynarce sterowanych przez ludzi torped.

Rozmawiałem o tym wszystkim z Ojcem, ale on patrzył na mnie uważnie i odpowiadał półgębkiem. Powiedział raz: „Oj synu, synu, przecież budżet Berlina jest większy od budżetu Polski”. Mówił także: „Nasze myśliwce P-11 są wolniejsze o ponad 100 kilometrów na godzinę od bombowców niemieckich, a myśliwiec Jastrząb jeszcze w projektowaniu. Nam potrzebne są dziś setki Karasi i Jastrzębi”. Wiedziałem, Karaś to odpowiednik Sztukasa, a Jastrząb – odpowiednik Messerschmitta 109. Ojcu mogłem wierzyć, ponieważ miał szerokie kontakty w przemyśle metalowym.

Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość o sojuszu między Rzeszą a Rosją. Patrzyłem z przerażeniem na swoich Rodziców, na ich zatroskanie i przygnębienie. Zaczęli gromadzić żywność, cukier w kostkach (bo innego już brakowało), suchary i konserwy. Mąki już nie było. Wojna była pewna. Ojciec twierdził, że znaleźliśmy się w bardzo niekorzystnej, wprost katastrofalnej sytuacji. Jeśli Niemcy i Rosja współdziałają – Polska zawsze na tym traci, zyskuje natomiast, gdy walczą między sobą. Francuzi nie chcą walczyć o Gdańsk i nie pomogą nam.

Po porannej wizycie Henkla przyleciały, w godzinach popołudniowych, dwie dziewiątki samolotów i bombardowały miasto na południowym wschodzie. Artyleria nasza prowadziła już dość intensywny ogień, choć nieskuteczny. Z częstotliwości wybuchów pocisków wnioskowaliśmy, że strzelają cztery armaty.

Następnego dnia w sobotę Niemcy znów bezkarnie latali i bombardowali. Babcia z Mamą przystąpiły do oblepiania szyb paskami papieru na krzyż, a pod wieczór namoczyły w mydlinach ręczniki, jako ochronę przed atakiem gazowym. Ojciec powrócił z pracy z gazetami, które donosiły o walkach przygranicznych i niestety o opuszczaniu miejscowości. Radio Breslau, na które nastawiliśmy, bębniło o postępach wojsk niemieckich, podając nazwy zdobytych miast i wychwalając bohaterstwo i rycerskość swoich żołnierzy.

Niedziela była dniem wyjątkowym. Od rana do obiadu nad głowami wyły samoloty, ale bardzo wysoko, tak że nie mogłem ich dostrzec, choć niebo było bezchmurne i tylko cokolwiek zamglone. Odzywały się krótkie serie karabinów maszynowych, ale inne – bardzo szybkie, gardłowe, jakby ktoś przesuwiał szafę po podłodze. Musiały to być walki powietrzne naszych lotników.

Po obiedzie, w parku między drzewami, oficer nakazywał ustawiać przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Ojciec nie wytrzymał, podszedł do oficera i spytał jak chcą strzelać do samolotów, nie widząc ich spod drzew. Oficer odpowiedział coś niegrzecznie, ale zmienił ustawienie karabinów, dając im lepszą widoczność i większe pole do ostrzału. W poniedziałek powinienem pójść do szkoły, bo był to już czwarty wrzesień, lecz była jeszcze zamknięta. Za to do parku przyszło pełno wojska. Byli zmęczeni, ale prezentowali się wspaniale. Mieli wszystko: hełmy, mundury, po sześć ładownic z nabojami, szerokie i długie bagnety, jakich jeszcze nie widziałem, buty z niższymi cholewami w miejsce „starożytnych” owijaczy. Uzbrojeni byli w radomskie mauzery – maszynowe karabiny ręczne oraz ciężkie karabiny maszynowe na samochodowych furgonetkach. Mieli lekką artylerię konną i wiele taborów konnych. Kobiety, w tym i moja Mama, gotowały i nosiły napoje, jedzenie i ciasta. Sprawnie obstawiono teren wartownikami.

Koło obiadu niespodziewanie tuż obok nas rozległ się krzyk „stój”, a chwilę po tym padły strzały karabinowe. Jakiś młody człowiek uciekał wzdłuż płotu. Wartownik klęcząc mierzył z karabinu. Padł strzał i człowiek upadł. Zakopano go w rowie przeciwlotniczym, jakich wiele wykopano przy drodze. Był to pierwszy spotkany szpieg. Potem poszliśmy z chłopakami na ścierniska między polską a niemiecką wsią. I znów nagle pojawili się ludzie biegnący na przełaj z okrzykiem „łapaj szpiega”. Przed nami istotnie ktoś biegł w jasnym swetrze i w stronę niemieckiego cmentarza. Pobiegliśmy i my co tchu w piersiach. Biegaliśmy bardzo dobrze, bo całe dni graliśmy we dwa ognie, piłkę nożną czy inne gry ruchowe, rychło więc znaleźliśmy się na czele gonitwy. I wtedy od cmentarza padły strzały. Upadłem, przekoziolkowałem i biegłem dalej. Schwymano tego człowieka. Patrzyłem jak wykręcano mu ręce i jak zabierał go żołnierz, który nadbiegł. Dopiero w tym momencie zobaczyłem, jak mocno są ludzie uzbrojeni. Pełno było strzelb myśliwskich i dział małokalibrowych, widać było pistolety, bębnekowe rewolwery. Broń palna była powszechnie dostępna. Ja w wieku dziesięciu lat dostałem wiatrówkę z Brna i ponieważ strzelałem bardzo dobrze, miałem dostać na gwiazdkę „flower”, czyli sportowy karabinek małego kalibru. Co drugi gospodarz wieszał na ścianie „fuzję”. Gdy tak się rozglądałem, podszedł do mnie młody człowiek i powiedział mi, abym obwiązał sobie nogę, bo bardzo krwawi. Dopiero wtedy zauważyłem, że mam całą zakrwawioną skarpetkę i pełno krwi w prawym

bucie. Nie potrafię powiedzieć, jak to się stało, bo nic do czasu zobaczenia krwi nie czułem. Rana goiła się dość długo i ślad pozostał do tej pory.

Wtorek, piątego września, był dniem strasznym. Ojciec wstał jak zwykle rano, ale pobiegł sprawdzić, co za szum dobiega z szosy na Brzeziny. Wrócił zmieniony krzyżąc, że wszyscy mężczyźni idą na wschód, za Wisłę, bo tam organizuje się obrona i powstają nowe armie. Plecak został załadowany natychmiast: trochę żywności, trochę ciepłej odzieży. Ojciec poszedł. Pierwszy raz widziałem, jak zapłakał żegnając się z nami. Gdy mówił: „Czy się jeszcze zobaczymy? Opiekuj się Mamą...” – poczułem po raz drugi skurecz gardła. Wszyscy mężczyźni z sąsiedztwa, których nie sięgnął pobór, dorastający chłopcy, a nawet kobiety szły na wschód. Szosą wali rzeka ludzi, furmanki z całymi rodzinami, bydło, samochody. Nisko nad horyzontem przemykają samoloty. To nie nasze. Na wschodzie aż gotuje się od wybuchów. To daleko, gdzieś koło Brzezin. Koło południa szosą i bocznymi drogami zaczynają wracać uciekinierzy. Opowiadają okropności o atakowaniu przez samoloty niemieckie cywilów, o rzucanych na ludzi bombach i strzelaniu z karabinów maszynowych. Wracali do swoich, aby umrzeć w domu, a nie na polach.

Ojciec nie wracał, a także nikt z sąsiadów. Musieli chyba zdążyć przejść przed masakrą koło Brzezin. Radio wciąż podawało komunikaty: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi”. I przeszedł. Nastawiliśmy na Breslau – całe wywody o zakłamaną polską propagandzie, jakoby bohaterzy i rycerscy lotnicy niemieccy rzucali bomby na ludność cywilną i siekli do niej z karabinów maszynowych. Jak wrednie, typowo po niemiecku, kłamie ta szczekaczka z Wrocławia. Wystarczy popatrzeć na powracających uciekinierów.

Czwartek, siódmego września, był spokojny. Poszedłem z Mamą i małą jeszcze siostrą do parku popatrzeć na drogę. Była pusta. Pod płotem parku nasze wojsko zostawiło nowiusienkę, jeszcze dobrze nie rozkonserwowaną, wielkokalibrową haubicę. Była tylko bez zamka. W parku kręcił się Łazik z karabinem maszynowym i stanął pod wielką lipą, pod którą jeszcze dwie niedziele wcześniej odbywała się zabawa taneczna. Z samochodu wysiadł oficer i przez lornetkę lustrował między drzewami niebo. Naraz krzyknął: „leci” i wbiegł pod lipę. Żołnierz przy karabinie maszynowym poprawił taśmę i oparł drewnianą kolbę o ramię. Oficer zabronił strzelać bez rozkazu. I ja zobaczyłem nadlatujący samolot. Był to łącznikowy niemiecki Henschel, od spodu jasno-niebieski, z wierzchu zielony jak konik polny, co demonstrował ustawicznie pikując nad parkiem. Latał bardzo nisko, tak że widziałem jego kłapy, głowy pilotów i krzyże na samolocie. W końcu odleciał i prawdopodobnie nic nie odkrył. Oficer pochodził jeszcze, polornetkował, wsiadł do samochodu i odjechali. Byli to ostatni polscy żołnierze, jakich widziałem wolnych i uzbrojonych.

Późnym wieczorem, już w ciemności, odezwały się armaty. Chwilę po tym świergot pocisków i wybuchy na ziemi. Na północnym zachodzie niebo rozjaśniało się ponad drzewami, jak w czasie burzy, za kilka sekund słychać było lecące pociski i wybuchy. Nasze osiedle nie było ostrzeliwane intensywnie, za to cmentarze na Dołach i okoliczne domy dostały za swoje. Koło naszego płotu biegali jacyś ludzie. Słychać było jakieś głosy i nawoływania. Przenieśliśmy się do solidniejszego domu sąsiadów, gdzie przeczekaliśmy do rana.

Piątek, 8 września, spokojny był aż do zmroku. Poszedłem obejrzeć skutki ostrzału artyleryjskiego. Znalazłem na ulicach kilka lejów po pociskach i poszatkowane okoliczne domy. Były jeszcze w ogrodach leje, ale nikt nie został poszkodowany. W krzakach bzów, rosnących przy płocie w naszym ogrodzie, odkryłem kilkanaście ładownic, wypełnionych kompletnie karabinową amunicją polską. Stało się dla mnie oczywiste, że ci biegający po nocy ludzie byli po prostu dezertkami. Ładownice o zmroku ukryłem w czarnych porzeczkach.

Przyszła do Mamy znajoma, która mieszkała w pobliżu cmentarza na Dołach. Opowiadała o strasznym stanie cmentarza po ostrzale artyleryjskim, o porozbijanych grobowcach, o porozrzucanych szczątkach ludzkich. Spalone i podziurawione były domy – o dziwo w większości niemieckie. Wieczorem poszliśmy spać do bardzo solidnego domu znajomych.

Sobota, dziewiątego września, obudziła nas szumem na szosie. Poszliśmy w kilkoro dzieci zobaczyć co się dzieje. Po drodze wyprzedziła nas biegiem grupa niemieckich, znajomych chłopaków, którzy z wraskiem: „Raus, weg da!” – zepchnęli nas z drogi i pobiegli do szosy. Szosą waliło w kierunku Brzezin niemieckie wojsko. Prawą stroną jezdni szła trójkami piechota, jechała dwójkami konnica i artyleria ciągnięta przez czwórki koni. Lewą stroną jezdni poruszali się motocykliści i samochody. Organizacja ruchu musiała być dobra, gdyż mimo pozornego tłoku nie tworzyły się blokady. Na poboczach stało kilka czołgów. W jednym zmieniano gaśnicę, na innych siedzieli czarno ubrani paneerniacy, część majstrowała przy porzuconej przez Polaków haubicę. Natomiast po ciągnącym się wzdłuż drogi chodniku spacerowali nasi sąsiedzi Niemcy. Wyróżniał się tuszą i wzrostem nasz najbliższy sąsiad zza płotu, emerytowany pracownik polskiego konsulatu w Niemczech. Oficjalnie wielki Polak, katolik z własną ławką w kościele, pobierający dobrą, polską emeryturę, a obecnie, trzymając za rękę wnuczkę, paradujący z krążkiem NSDAP w kłapie. Inni Niemcy poubierali swastyki i pozdrawiali po hitlerowsku przejeżdżających. To był trzeci skurecz gardła, który musiałem przejść.

Dalsze kilka dni płynęły bez wrażeń. Musieliśmy siedzieć w domu. Mama z Babcią siadały po ciemku przed domem, szukały błysków i wsłuchiwały się w odgłosy nocy. Właśnie wtedy na północno-zachodnim niebie zaczęło błyskać i przyszyły stłumione grzmoty. Tam szedł bój, ale z kim?

Nagle wrócił Ojciec. Doszedł do wsi Żydów za Grójcem i tam dopędzili ich Niemcy. Wszystkich uciekinierów gromadzono pod karabinami. Ojciec, znając niemiecki, wdał się w rozmowę z wartownikiem. Ten kazał zostawić plecak u chłopca i wracać do domu, zachowując szczególną ostrożność i rozmawiając z Niemcami tylko po niemiecku. W ten sposób wrócił. Spotkany Niemiec okazał się porządnym człowiekiem. Ojciec w tydzień przeszedł trzysta kilometrów. Karmili go po drodze chłopci. Przyniósł nam wiele informacji. Stało się także jasne, że kwiat Wojska Polskiego – Armia „Poznań”, idąc na Warszawę, uderzyła w bok Niemców. Istotnie, odgłosy bitwy były coraz bliższe, nad naszymi głowami latały sznurkiem Stukasy, gdzieś nad Zgierz i Stryków, pikowały i rzucały bomby tuż nad ziemią. Zobaczyłem po raz pierwszy samoloty polskie. Nadleciały dwa srebrne Karasie, które pikując i wznosząc się prostopadłe do góry, kilkakrotnie atakowały stanowiska niemieckie. Cała akcja odbywała się dosłownie w deszczu świecących pocisków. Było za daleko, aby rozróżnić poszczególne wybuchy i wiedzieć dokładniej co się stało. Drżałem tylko, czy nie strącą któregoś samolotu, ale nie – po akcji odleciały oba.

Byłem zachwycony manewrami naszych samolotów, jednocześnie zgaszony intensywnością nieprzyjacielskiej obrony. Opowiadając o bombardowaniach i ostrzeliwaniach uciekinierów, Ojciec ciągle zaznaczał brak przeciwdziałania wojska. Przecież wszystko, co posiadało broń powinno walić do lecących nisko samolotów. To nie takie trudne określić wyprzedzenie, a czym więcej kul, tym więcej trafień. Bez naszej obrony niemieccy lotnicy byli zupełnie bezkarni. Odgłosy walk powoli cichły. Zaczęło padać, co ucieszyło Ojca. Będzie Niemcom trudniej walczyć, szczególnie lotnikom. Samoloty bombowe startowały już z łódzkiego lotniska. Codziennie rano klucze Henkli, Dornierów i Junkersów przelatywały nisko nad naszymi głowami, kierując się na Warszawę.

Po kapitulacji Stolicy rozpoczął się powrót wojsk niemieckich. Znowu dużo koni, wszystko jakieś zapuszczone, przemoczone, częste przestoje, łażenie po bokach, samochody poprzewracane w rowach. Zaczęli ściągać ludzkie, nawet z miejsc, gdzie weszli Rosjanie. W domu mieliśmy ciągle odwiedziny znajomych lub kogoś z rodziny. Podkreślano negatywne przypadki zachowania wyższych oficerów polskich, wyrzucanie prywatnych kufrów z samochodów wojskowych, aby zrobić miejsce dla rannych. Prywata i paniczna ucieczka, bałagan. O nędzy armii sowieckiej opowiadano stale – brak butów i karabiny na sznurkach. Ale byłem i świadkiem poważnych dyskusji, jakie toczyły się w gronie najbliższych i widać dobrze zorientowanych kolegów Ojca. Dochodzono do wniosku, że kampania polska była tylko grą na opóźnienie. Chciano zachować jak najwięcej sił na dalszą, decydującą walkę. Tłumaczyło to ewakuowanie polskich okrętów do Anglii, czy zaniechanie niszczenia mostów, węzłów komunikacyjnych i innych strategicznych punktów. Francji nie traktowano poważnie. Już nie chciała walczyć o Gdańsk i patrzyła spokojnie, nie ruszając palcem w bucie, na upadek Polski. Anglia nie miała silnych wojsk lądowych i też nie liczyła się. Pozostało oczekiwanie, że Niemcy z Rosją wezmą się za łby, a wtedy na tym zyskamy. Nie będą to jednak tygodnie, lecz lata.

Tymczasem rozpoczęły się rządy niemieckie. Krążyły pogłoski o powrocie mężczyzn, którzy uciekali przed Niemcami. Zostali zatrzymani pod strażą i umieszczeni za drutami. Nasze sąsiadki zaczęły zamawiać msze w intencji powrotu. Wracało wielu, a ksiądz o każdym ogłaszał z ambony. Jednak nie wszyscy wrócili – część musiała zdążyć uciec przed Wehrmachem, a byli to pracujący w lotnictwie, wojskowości, służbach państwowych. Ewakuowano ich przed „rajzą”. Wracająca dorastająca młodzież kryła się, gdyż na temat niemieckich bestialstw krążyły opowieści i to nie bez podstaw. Cztery domy od nas nie wrócił wspaniały, młody chłopak. Znaleźli się świadkowie, znajomi mego Ojca, którzy widzieli jak był rozstrzelany bez powodu. W innym miejscu żołnierze ustawili ludzi przed kościołem i strzelali im pod nogi. Pocisk utkwiał naszemu sąsiadowi w kości goleniowej i tak tam pozostał.

Nauka

W połowie września poszliśmy do szkoły. Część naszych nauczycieli powróciła i rozpoczęła lekcje. Były to jednak wyłącznie kobiety. Potem zjawiał się nauczyciel, uczący również niemieckiego i nieznaną nauczycielką – prawdopodobnie z terenów wschodnich, która przyjechała do rodziny na wakacje i tak już została. Była zupełnie inna – biła dzieci różgą gdzie popadło, wrzeszczała, z byle powodu stawiała do kąta, kazała klęczeć i wyrzucała z klasy. Orzekliśmy, że jest nawiedzona przez diabła i ustaliliśmy, aby każdy z nas, przechodząc koło niej, wymówił lub przynajmniej pomyślał: „apage satanas”. Byliśmy bowiem świeżo przeszkoleni, ponieważ jeden z kolegów przyniósł – o ile pamiętam – „Rycerza Niepokalanej”, z dokładnym opisem wypędzania diabła z kobiety.

Warszawa jeszcze walczyła. Klucze bombowców startowały z Lublinka i przelatując nisko nad miastem w porannym słońcu wyły nad naszymi głowami, wznosząc się i kierując na północny wschód.

Do szkoły szliśmy dwadzieścia minut. Po drodze zatrzymywali nas żandarmi na koniach, brali nasze tornistry i kontrolowali je. Zwracali się do nas krzykiem, wrzeszcząc: „schnell, schnell!” Krzyk bez przyczyny i szcękający język, to były pierwsze moje wrażenia ze spotkań z Niemcami, przybyłymi z Rzeszy. W szkole nastała nagle moda na żucie makuchów, czyli sprasowanych ziarenek maku po wyciśnięciu oleju. Dawniej była to karma dla bydła, a teraz w każdej klasie znalazł się dostawca. Nauczyciele opanowali problem błyskawicznie, wyjaśniając szkodliwość działania tego narkotyku i odwołując się do poczucia godności i patriotyzmu. Efekt był natychmiastowy: dostawcy zostali napiętnowani, a nawet pobici. Z tego okresu pozostało mi w pamięci jedno zdarzenie. Wychodząc w czasie przerwy przed szkołę, na rozległą przestrzeń porośniętą wydeptaną trawą i prześwietlającą piaskiem, zobaczyliśmy wojskowy samochód z dwoma stojącymi obok żołnierzami, w hełmach, z amunicją, w szelkach podtrzymujących pasy i z maskami gazowymi. Podeszliśmy oglądając samochód. Obok na statywie cywil ustawiał kamerę filmową. Żołnierze wyjęli kielbasę i krojąc po kawałku jedli. Naraz jeden odkroił kawałek i podał chłopcu. Potem drugiemu, trzeciemu... Zrobił się tłok, dzieci wyciągały ręce. Wtedy Niemiec śmiejąc się rzucił kawałek w pole. Kilkoro dzieci pobiegło. Niemcy rzucali dalej. Zrobił się tłok i przepychanki. Wtem zauważyłem, że cywil filmuje. To było strasznie upokarzające. Nie wiedziałem co robić i bez namysłu krzyknąłem: „Dzwonek! Do klasy!” Niemcy popatrzyli na mnie, ale nie ruszyli się. Dzieciarnia usłuchała i wróciliśmy do szkoły, choć przed dzwonkiem.

Rozpoczęliśmy naukę w nowej szkole, wybudowanej rok przed wojną, mającej salę gimnastyczną i salę do robót ręcznych. Nie cieszyliśmy się nią długo. Wkrótce zajęła ją młodzież niemiecka. Przerwano lekcje. Na korytarzu stały dwa rzędy wyrostków z założonymi rękoma, jeszcze bez ubrań Hitler-Jugend, ale butnych i wyzywających. Atmosfera podgrzewała się, nas było tam z pięć razy więcej i jeszcze nie doświadczyliśmy barbarzyństwa Niemców. Nauczycielki zareagowały jednak rozsądnie, wyprowadzając spokojnie klasy. Przeniesiono nas do starej szkoły, czteroizbowej, bez żadnego zaplecza i pomocy naukowych. Nauka odbywała się na dwie, a nawet trzy zmiany. Program uległ zmianie: doszedł język niemiecki z pisownią gotycką, wykreślono język polski i historię.

Nauka nie trwała jednak długo, chyba do lutego. Łódź zmieniono na Lodź, potem na Lifibzmannstadt i włączono do Rzeszy jako Kraj Warty. Zakazano całkowicie nauczania Polaków. Noszenie książek było zabronione. Kilkakrotnie byłem w związku z tym rewidowany. Byłem świadkiem bicia przez niemieckiego policjanta może piętnastoletniego chłopca, niosącego na widoku książkę polską. Represje te zaowocować musiały reakcją obronną. Książki weszły do podziemia. Zwielokrotniła się ich wymiana. Intensywne czytanie stało się nakazem patriotycznym. Jeszcze nigdy nie pochłaniałem tylu książek. Doszedłem do wielkiej wprawy w szybkim czytaniu. Od kuzynek miałem książki do gimnazjum i liceum. Do czternastu lat uczyłem się pod nadzorem rodziców dość systematycznie. Potem, gdy musiałem pójść do pracy i pracować po dziesięć godzin, na naukę w dni powszednie nie było sił. Pozostały niedziele. Ojciec pomagał mi i zachęcał do wysiłku, lecz inne dzieci, nie mające książek i pomocy rodziców, przestawały uczyć się zupełnie.

Okupacja

Początków okupacji nie odczuwaliśmy na razie dotkliwie. Mieliśmy dobre zapasy żywności na zimę, cztery tony węgla, co przy oszczędzaniu wystarczało na dwa lata. Stawaliśmy się świadkami stopniowego likwidowania niezależności sąsiednich państw przez dwóch największych agresorów, jakimi stali się Niemcy i Sowietci. Najdziwniejsze wieści nadchodziły z Finlandii. Ten mały pod względem ludności kraj, na poziomie większego naszego województwa, potrafił skutecznie hamować ruskiego kolosa.

Uwagę zwracał sposób ubierania się niemieckich żołnierzy. Paradowali w czasie największych mrozów w furazerkach i podszytych wiatrem płaszczach. Ojciec napomykał, że to już są przygotowania do wojny w Rosji. Na razie zgoda i współpraca była idealna, prasa niemiecka, również rosyjskojęzyczna, rozpisywała się o wielkich osiągnięciach sowieckich. Szczególnie utkwił mi w pamięci opis armaty do rozbijania atomów. Ojciec był zdania, iż chodzi tu o cyklotron, wynaleziony w Anglii.

Z nadejściem wiosny rozpoczęły się ofensywy niemieckie. Niezrozumiałe stało się tak raptowne załamanie Francji. Ojciec prezentował pogląd, że Francja nie chciała walczyć, bo poniosła ciężkie straty w pierwszej wojnie i wolała przeczekać, aż ktoś wyjmie za nią kasztany z ognia. Anglia była także bita przy każdym spotkaniu z Niemcami. Dla odmiany zaczęła bombardowanie ulotkami. Na ten temat krążyły różne dowcipy. Pamiętam taki: „Anglik wyrzucał ręką ulotki nad Niemcami. Ponieważ było tego dużo, zdenerwował się i wyrzucił całą skrzynkę. Jak mogłeś! – krzyknął dowódca samolotu – przecież to mogło zabić Niemca!”

Okres największej euforii niemieckiej stał się niezwykle bogaty w podziemne informacje. Rozpoczął się istny zalew przepowiedni, wróżb, opisów klęsk niemieckich i dowcipów. Wojna kończyła się zawsze w najbliższym czasie, oczywiście klęską Niemiec. I choć było to całkowicie nieprawdopodobne,

podnosiło na duchu, a szczególnie dowcipy. Opowiadano, jak naczelstwo niemieckie spotkało się z sowieckim w Moskwie. Mołotow usiadł obok Göringa. Göring siedział w przepysznych, granatowych spodniach. Mołotow, znany pedant, zauważył na spodniach Göringa białą nitkę i chciał ją niepostrzeżenie zdjąć, ale nitka się ciągnęła. Mołotow zaczął ją więc pod stołem zwijać, aż zwinął cały kłębek. Göring poruszył się niespokojnie i zakrzyknął – co za wspaniała technika, ukradli kalesony nie ściągając spodni!

Czuło się, że przyjaźń niemiecko-sowiecka musi się skończyć. Na spotkaniach w naszym domu dorośli dochodzili do jednego wniosku: Hitler wyczerpał możliwości ekspansji w łatwych miejscach. Pozostała mu Rosja, a na niej połamie sobie zęby. Ojciec, jak zawsze ostrożniejszy przewidywał, iż napadający zawsze uzyskuje w pierwszym okresie przewagę.

Naraz w maju zaczęły jechać wojska niemieckie. Dzień w dzień. Pod wieczór zatrzymywały się na obozowisku w parku i w lesie. Żołnierze byli inaczej wyposażeni niż w czasie wojny z Polską. Zupełnie nie było koni. Armaty ciągnęły samochody na gąsienicach. Po takim postoju zostawała sterta zużytych, gumowych klocków gąsienicowych nadających się do gotowania obiadu.

Czołgi jechały koleją na Brzeziny i na Łowicz, toczyły się gęsto wszelkie pojazdy kołowe. Nawet dla dziecka było jasne, że nastąpi atak na Rosję, nie mogła to bowiem być żadna siła nacisku, gdyż prasa nie wspominała nic na ten temat. Jakoś ruch ustał na jakieś dwa tygodnie. Ojciec mówił, że się okopują, a wtedy Niemcy uderzyli. Radość była u Polaków powszechna. Ukazała się realna siła, mogąca pokonać Hitlera. Anglia psim śwędem dostawała sojusznika. Natomiast niemiecki sztab bardzo nisko ocenił wartość Brytyjczyków, rozpoczynając walkę na dwa fronty. Ojciec zapowiadał wojnę pozycyjną do zimy i rosyjską ofensywę zimą. Babcia, której dziadkowie wspominali jeszcze tragiczną dla Polaków wyprawę Napoleona do Moskwy, opowiadała o okropnościach powstań, wojny światowej i o spalonej ziemi, pozostawianej przez odchodzące wojska. O generale Mrozie pamięć nie słabła. Do tej pory nie zaznaliśmy poważniejszych zniszczeń tak od Niemców, jak i od cofających się naszych oddziałów. Zminimalizować straty, to było rozsądne działanie w obliczu opuszczenia Polski przez sprzymierzeńców. Teraz miały być to inne wojska i inne siły. Jednak z naszej strony nikt nie przewidywał takiego przebiegu wydarzeń. To było kompletne rozwalenie rosyjskiego frontu! Niemcy posuwali się szybko, może nawet szybciej, niż w Polsce. Ojciec był mimo wszystko optymistą, twierdząc iż po rewolucji Sowiety zbudowały potężny przemysł ciężki i zbrojeniowy. Mają wielkie zasoby ludzkie i swoje zimy. Otrząsną się i zaczną bić Niemców.

Kupiłem mapy i zacząłem szpilować podane w gazecie miejscowości. Ruch na mapie był istotnie duży. Szosa jechały małe oddziały węgierskie. Nic ich nie rozumieliśmy, ale śmiali się wesoło do nas i machali rękoma. Normalni ludzie w mundurach koloru jak nasi. Cała Europa szła na wschód z Niemcami. Niemcy triumfowali. Aż żółto w mieście od mundurów SA. Poszedłem na Piotrkowską od Placu Wolności. Na środku placu puste miejsce po pomniku Kościuszki, wokół słupy obwieszona swastykami. Nazwy ulic są tylko niemieckie, uchowały się jeszcze polskie tabliczki na domach.

Z wyżywieniem jest coraz gorzej. Na kartki jest za mało, dokupić na lewo – drogo i niebezpiecznie. Ojciec przynosi 25 marek tygodniowo. Mąka (tylko żytnia) kosztuje na czarnym rynku 8 marek za kilogram, słonina 100 marek i możliwość utraty życia. Kupujemy zwykle za marki od Niemców, bo oni mniej się boją i biorą także polskie srebrne monety. Nasi chłopci gustują przede wszystkim w złocie.

Ukończyłem czternaście lat i aby nie być wywieziony do Niemiec, muszę zacząć się w jakiejś pracy. Zacząłem jako pomocnik elektromontera z dziesięciogodzinnym dniem pracy. Dostałem na kartki dodatkowo 20 dekagramów tak zwanego mięsa na tydzień i 20 dekagramów chleba dziennie.

W Wigilię nagle umarła Babcia. Pochowaliśmy Ją w Drugie Święto w wykopanym przez nas grobie na wojennym cmentarzu.

Niemcy masowo zamieniali polskie szkoły na szpitale wojskowe. Nasza rola polegała zwykle na zainstalowaniu beczeniowej lampy w sali operacyjnej. Choć Wehrmacht szedł naprzód, szpitale były pełne i ciągle przybywało nowych. Już pierwszej zimy Rosjanie musieli odgryźć się Niemcom, bo front przesunął się troszkę na zachód. Wojna stała się w pełni światowa po rozpoczęciu walk przez Japonię i Stany Zjednoczone. Niemców już nic nie uratuje, to tylko sprawa czasu. Druga zima dla Niemców i ich satelitów była już tragiczna – ogłoszono żałobę po klęsce stalingradzkiej. Flagi z kirem, zamknięte kina i teatry, poważna muzyka, zakaz śmiechu, a nawet uśmiechu. Taką ucztę mieliśmy pierwszy raz. Dla podtrzymania ducha, mniej więcej pułk piechoty niemieckiej przemaszerował trójkami przez całą Łódź z południa na północ. Prezentowali się bardzo dobrze, byli dobrani, potężnie zbudowani, tacy jak ci, co pierwsi jechali na front wschodni.

W mojej rodzinie pracują wszystkie osoby, również najmłodsza siostra. Do domu przychodzi się po to, aby spać. Nie ma czym ogrzewać, woda stoi w wiadrach pozamarzana, ciepło jest tylko pod pierzyną.

Rozpoczyna się wojna totalna. Praca tylko dla wojska. Robotnicy są przyuczani w innych specjalnościach. Mama i siostra zostają wywiezione na kopanie okopów w okolicach Płocka. Odprowadziłem je na stadion koło stacji kolejowej, gdzie był punkt zborny. Zdziwiło mnie zachowanie

Niemców. Byli jak normalni ludzie, nie wrzeszczeli, czasami nawet mówili „bitte” lub „proszę”. Zostałem na gospodarstwie sam z Ojcem. Miałem więcej czasu na zakupy. Mogłem kupić drobnicę rybną, z tym co na kartki przygotować treściwe jedzenie, bo Ojciec wyglądał na coraz słabszego.

Na przełomie roku Łódź poszła kopać okopy. Tłumy ludzi wyszły na pola i zaczęły kopać rowy przeciwczołgowe, a właściwie udawać kopanie. Do tego ziemia zamarzała na skałę. Dostaliśmy kaszy z mięsem, co wtedy było to dla mnie rarytasem. Niemcy zachowywali się poprawnie. Któregoś późnego wieczoru wróciła Mama. Szła pieszo sto kilometrów, lecz siostrę wywieźli na nowe miejsce nad Wartę.

We wtorek gazety napisały o walkach nad Nidą – czyli front ruszył. W nocy Rosjanie oświetlili miasto i rzucili trochę bomb. Rano obejrzałem skutki: sieć tramwajowa leżała na jezdni, kilka kamienic rozprutych do piwnic, wydobywane niewinne ofiary. Koło południa następny nalot, podobny w rozmiarach. Cywilni Niemcy uciekają na potęgę.

Poszedłem po Ojca do fabryki, mineliśmy się, wyszedł wcześniej. Wracalem sam przez całe miasto w kierunku na wschód. Setki, a może tysiące Niemców uciekało. Ludzie starzy i wiele młodych kobiet z dziećmi. Starają się pchać po śniegu wózki, uspokajają dzieci. Mężczyzn młodych i w sile wieku nie widać. Coraz ktoś pyta gdzie idę, dlaczego w stronę przeciwną?

Represje

Bardzo krótko po wejściu Niemców była w naszym domu rewizja. Przyszło z dziesięciu funkcjonariuszy, ubranych w ciemnobrązowe mundury, oprowadzanych przez naszego znamienitego sąsiada zza płotu. Zaczęli na stertę wyciągać książki, mundur weterana z powstania 1863 roku, zmarłego przed dwoma laty, który po swoim wujku odziedziczył Ojciec, pogruchothane lornetki i lunetę, a na koniec flagę. Wszystko to spalono. Najbardziej żał nam było zniszczonych książek z dedykacjami autorów. Babcia знаła niemiecki i może dlatego część książek się ostała. Nie zabrano również pieniędzy i kosztowności. Potem aresztowano trzech sąsiadów, tramwajarzy, należących do PPS. Powrócili po jakimś czasie mocno poturbowani. Jeden z nich odwiedził Ojca i opowiedział, że wszystkich trzech bili i pytali, czy Ojciec należał do jakiejś partii. Ojciec był bezpartyjny, ale piastował najwyższe funkcje w łódzkim związku zawodowym metalowców. Wtedy była to praca całkowicie społeczna. Związki dbały o organizację odpoczynku i warunki pracy robotników. Ojciec pracował normalnie w firmie, pełniąc jednocześnie funkcje delegata. Krótko przed wybuchem wojny zaczęto z pracy wyrzucać Niemców, mających przecież obywatelstwo polskie. Ojciec przeciwstawił się zwolnieniom i to Go chyba uratowało.

Starszy brat Ojca zajmował wielkie, trzypokojowe mieszkanie z kancelarią. Pamiętam meble z czarnego dębu w stołowym i rozpostartego orła nad drzwiami. Stryj musiał opuścić mieszkanie jak stał, wynosząc nędzne resztki. Zamieszkał w swoim rodzinnym domu u dozorcy. Wkrótce przeszedł operację, po której zmarł. Drugi brat Ojca, dużo młodszy i dopiero parę lat po studiach prawniczych, musiał uciekać przed aresztowaniem na wieś do Guberni.

Do podziemnej roboty najszybciej się zabrały moje dwie kuzynki ze strony Matki. Już po liceum nawiązały kontakt z lotnikami angielskimi, pozostającymi w niewoli. Przerzucały paczki i planowały organizację ucieczki. W porę ostrzeżone w tramwaju przez znajomą Niemkę, uciekły jak stały, jedna do Kuluszek, druga do Warszawy. Podobno jeden z lotników się wyklepał. Przyrodnia siostra tej kuzynki, która uciekła do Warszawy, została z małą córką wyrzucona z mieszkania. Z walizką przewieziono ją do Krakowa. Jej ojciec tak się tym przejął, że zmarł w ciągu kilku dni. Jej mieszkanie wraz z całym dobytkiem zajęła Niemka – sąsiadka.

Wysiedlano Polaków z nowego osiedla Mątwiła Mireckiego na „Polesiu”. Na naszym osiedlu również nastąpiły wysiedlenia. Cały park i przylegający las zostały ogrodzone drutem. Znajdujące się wewnątrz domy opróżniono. Wysiedlenia przebiegały według ustalonego scenariusza: pół godziny i tylko tyle, ile można wziąć w ręce. Jeżeli to było w dzień i żandarmi nie zabraniali, wówczas sąsiedzi przynosili do siebie co było można, a potem zwracali. Natomiast, gdy odbywało się to nocą i do samochodów, to często nikt o tym początkowo nie wiedział. W każdym domu stały przygotowane dla każdego, nawet małego dziecka, osobiste bagaże, nie za ciężkie, by można było daleko zająć.

Odebranie ogrodu było bardzo bolesne w okresie rozpoczynającego się głodu. Ogród taki zapewniał ziemniaki, warzywa i owoce. Można było trzymać ptactwo i króliki. Na terenie parku i w zabudowaniach podworskich urządzono szkołę konnej żandarmerii. W willach rozpanoszyli się żandarmi! Liczę, iż na około dwieście domów znajdujących się na osiedlu, wysiedlonych było ze czterdzieści.

W Łodzi i okolicy mieszkało bardzo dużo Niemców. Najechało się ich po powstaniu, bo car dawał ziemię i koncesje Niemcom i Żydom. Powyrastały stąd fortuny. Niemcy współżyli zgodnie z Polakami – było to już trzecie pokolenie na tej ziemi, a często czwarte. Mieli swoje szkoły, kościoły, majątki i organizacje. Wokół nas znajdowały się wsie mieszane lub czysto niemieckie. Gdy czas zmierzał ku wojnie, Niemcy zbierali się po kryjomu i organizowali. W okolicy wszyscy podlegający pod pobór

uciekli za granicę przed mobilizacją. Wrócili razem z wojskiem niemieckim. Natychmiast przestali nas poznawać, stworzyła się przepaść nie do przebycia. Nie było dobrych Niemców, wszyscy w działaniu stawali się największymi szubrawcami, nadgorliwymi wykonawcami każdej podłości. W naszej starej szkole mieli spotkania. W szkolnych salach ubranych w swastyki i Hitlerzy zbierali się, wrzeszczeli, słuchali krzykliwych przemówień. Gdy wychodzili, byli tak podnieceni i zaczadzeni, że wykrzykiwali i gestykulowali do siebie, szukając okazji do wykazania swojego nadczłowieczeństwa, czyli pobicia jakiegoś podczłowieka.

Jednego dnia w południe poszedłem się wykąpać do pobliskiego stawu. Spotkałem tam znajomego chłopaka. Popływałem i szybko wyszedłem. Już odchodziłem, gdy zauważyłem dwie grupy w mundurach Hitler-Jugend, które szły do sadzawki, blokując obie ścieżki. Krzyknąłem, ale mój towarzysz nie zdążył uciec. Początkowo wrzucali go do wody. Kiedy sami rozebrali się i weszli do sadzawki, zaczęli go bić i topić. Chłopak pił wodę, wymiotował, krztusił się, był coraz słabszy. Modlił się głośno i krzyczał: „Matko Boska, ratuj mnie!” To rozśmieszyło ich jeszcze bardziej. W końcu zostawili go, ubrali się i poszli. Gdy przybiegłem, chłopak leżał półprzytomny do połowy w wodzie. Długo trwało nim wydał wóde, doszedł do siebie i mogłem go odprowadzić do domu.

Sypią się coraz to nowe obostrzenia. Polakom nie wolno mieć radia, wszystkie aparaty należy odnieść do komisarza. Za słuchanie zagranicy kara śmierci, za przechowywanie Żyda, czy uciekiniera – kara śmierci. Polakom nie wolno jeździć w pierwszym wagonie i wchodzić do restauracji, cukierni i wszelkich lokali z wywieszka: „Nur für Deutsche”. Na rower trzeba uzyskać zezwolenie. Policja wydawała dokumenty tożsamości, sięgając do aryjskości dziadków. Teraz ma ewidencję i organizuje wyjazdy młodych ludzi do Rzeszy. Każdy od czternastu lat może być wywieziony na roboty. Efekty tych działań są wkrótce widoczne. Starsza młodzież praktycznie znika. Piszą listy z różnych stron Rzeszy, z małych firm, wielkich fabryk od „bambrów”. Wykorzystywani są jak niewolnicy, na podobieństwo Żydów oznaczeni literą „P”, przywiązani do miejsca pracy, ciągle niedożywieni, brutalnie karani, nawet przez tak zwanych porządnym Niemców, traktowani jako gorszy gatunek. Część młodzieży ucieka do Guberni.

Teżęje niemiecki terror. Na Bałuckim Rynku ustawili szubienicę i powiesili publicznie ludzi. W Zgierzu oficer polski w czasie próby aresztowania zastrzelił dwóch Niemców. W odwecie rozstrzelano sto osób. Za jakąś próbę oporu spacyfikowano wieś Wiskitno.

Na osiedle nasze wjechało umundurowane Kommando wyposażone w samochody ciężarowe. Penetrowali dom po domu, zabierając lepsze meble i cenniejsze przedmioty. Prawie od każdego coś zabrali, a od niektórych bardzo dużo, co było widać po załadowanych samochodach. Sterroryzowani mieszkańcy byli zupełnie bezsilni. Przeszliśmy jeszcze jedną akcją rabunku futer i kozuchów, lecz nie straciliśmy, ponieważ rodzice, to co mieli, dawno zamienili na żywność u Niemców na wsi.

Ostatnim ciosem było zabranie ogrodu. Przejął go tajniak legitymujący ludzi na ulicy. Zabrał szczególnie perfidnie, bo wtedy, kiedy zaczynało się owocowanie. Mieszkaliśmy więc w domu stojącym w ogrodzie, do którego to ogrodu nie mieliśmy prawa wejścia. Niemiec dwoił się i troił, aby stwierdzić jakąś kradzież. Liczył owoce na drzewach i pod drzewami, potem dwa tygodnie nie przychodził i wszystko gnęło. Podobnie było u naszych sąsiadów. Wiedzieliśmy jednak z całą pewnością że już niedługo jedynym sposobem na przeżycie dla tych władców będzie paniczna ucieczka.

Żydzi

W Łodzi co czwarty mieszkaniec był Życiem. Byli wśród nich bogaci, biedni i wprost nędzarze. Krążyły o nich z reguły niepoehlebne opinie, że są nieuczciwi, że stanowią hermetyczną organizację wspierającą się nawzajem, że idą na minimalny zysk albo nawet straty, by tylko zlikwidować polską konkurencję, że żyją na pokaz biednie, a faktycznie gromadzą wielkie majątki. Ich praktyki religijne też były na cenzurowanym, szczególnie koszerny ubój. Ale była i druga strona medalu. Kiedy dostałem od Ojca młodzieżowy rower zacząłem jeździć na dłuższe wycieczki. Kiedyś, wracając pod wieczór przez Brzeziny, widziałem na parapetach siedzące małe dzieci żydowskie, szyjące ubrania. W ten sposób oszczędzające naftę na oświetlenie. Ojciec mówił, że uszycie garnituru kosztuje tam cztery złote, czyli dwa kilogramy mięsa. W naszej szkole bywały pogawędki uzasadniające hasło: „nie kupuj u Żyda”. Ludzie z pokolenia dziadków, przeważnie niepiśmienni, karmili nas opowiadaniem o czarownicach odbierających krowom mleko, rzucających uroki, zadających kołtuna, albo o zmorach duszących w nocy. Powszechne było straszenie dzieci, że krew ich będzie wzięta przez Żydów na macę. Polacy i Żydzi żyli obok siebie jako dwie odrębne narodowości, nie czyniące nic, aby się zbliżyć. Kiedy Niemcy zajęli Łódź i oddziały wojskowe defilowały głównymi ulicami miasta, obok szalejących z radości, witających ich tutejszych Niemców, stali nie mniej wrzeszczący po niemiecku i nie mniej rozradowani Żydzi. Nawet moja Mama, kobieta wielkiego serca i anielskiego usposobienia, była oburzona. To było

nieprzyzwoite jeść tyle lat polski chleb, a potem witać najgorszego naszego wroga. Ojciec temperował sprawę twierdząc, że Żydzi są śmiertelnie przerażeni i chcą choć minimalnie poprawić swoją sytuację.

Jakoś w niedługim czasie Żydzi zostali przymusowo zatrudnieni do najgorszych prac fizycznych. Widziałem jak gołymi rękami zasypywali wykopane tuż przed wojną rowy przeciwlotnicze.

Wcześniej tego roku przysłała mroźna i śnieżna zima. Rozpoczęły się przymusowe przesiedlenia ludności. Opróżniano z mieszkańców obszary miasta przeznaczone pod getto. Była to najgorsza część miasta, częściowo tylko zelektryfikowana i skanalizowana, zabudowana najstarszymi, przeważnie prymitywnymi budynkami. Jednocześnie przesiedlano tam rodziny żydowskie, które musiały zostawiać swoje wspaniałe niekiedy mieszkania i iść do slamsów. Ulice miasta były pełne ludzi przewożących na skleconych sankach swoje mienie. Żydzi masowo wyjeżdżali na wschód. Biegająca obok naszego osiedla szosa do Brzezin po opadach śniegu stawała się jednym lodowiskiem, wyjeżdżonym przez sanie. Było to doskonałe miejsce do jazdy na łyżwach czy na sankach. Ruch na szosie był wielki. Sanie za saniami wiozły Żydów, z naszytymi już gwiazdami Dawida, do Brzezin i dalej na wschód. Raz, jadąc przyczepiony z tyłu do sań, zapytałem chłopaka żydowskiego dokąd jadą. Odpowiedział z wyraźną niechęcią, że chcą się dostać do Białegostoku, gdyż tam są Rosjanie i dadzą im żyć normalnie. Przychodzący do naszego domu znajomi przynosili wiele wiadomości i również mówili, że Żydzi przedostają się jeszcze legalnie do Rosji.

Po przesiedleniu Żydów do getta Niemcy ogrodzili drutem i pobielonymi deskami cały teren, wygrodzili dwie główne ulice z liniami tramwajowymi i przerzucili nad nimi przejścia dla pieszych. W ten sposób przez obszar getta można było przejechać na kołach, zaś Żydzi przechodzili z jednej części getta do drugiej po kładkach nad liniami tramwajowymi. Przejścia te były oczywiście dobrze zabezpieczone drutem kolczastym. Kiedy w końcu roku unikając szczęśliwie wywózki do Niemiec zacząłem pracować w zakładzie elektrotechnicznym, często jeździłem tramwajem przez getto w czasie największego ruchu. Wtedy Żydzi wychodzili na ulicę i grupowali się przy przejściach przez kładki. Było ich mrowie: jak okiem sięgnąć na chodnikach, wolnych kawałkach gruntu, na schodach, na kładce – człowiek przy człowieku. Porządku pilnowali potężni, widać że lepiej odżywieni policjanci żydowscy, z drewnianymi pałami w ręku. Byłem świadkiem bicia wielu ludzi, także drobnych, zabiedzonych kobiet, na których z błahaego powodu lub bez demonstrowali oni swoją służalczość i nadgorliwość. Właściwie w czasie całej okupacji nie widziałem, żeby niemiecki żandarm bił Żyda, natomiast powszechnie widziało się bicie pałami przez policjantów żydowskich.

Niemcy gonili za złotem i pieniędzmi. W Łodzi cegła po cegle rozebrali, w poszukiwaniu skrytek, cały kwartał kamienic zamieszkiwanych przez rodziny żydowskie. Plotki mówiły, że w łódzkim getcie stłoczono 800 tysięcy ludzi, na obszarze zamieszkałym poprzednio przez najwyżej 200 tysięcy. Ale powoli przerzedzało się, tłok przy przejściach był coraz mniejszy. Uruchomiona została nowa linia tramwajowa, biegnąca przez getto ulicą Brzezińską i Franciszkańską. Nie postawiono jednak płotów. Tramwaj wjeżdżał do getta i wyjeżdżał przez bramy otwierane i zamykane każdorazowo przez żandarma. Sprawdzał on jednocześnie zamknięcie drzwi i okien w wagonach. Niemieckich motorniczych już brakowało i dlatego na linii tej jeździli także Polacy z grupy tych „starających się”, tak zwanych Leistungspole.

Jeździłem więc przez getto, jak przez normalną ulicę. Pod oknami tramwaju chodzili Żydzi. Można było widzieć jak żyją, jak patrzą na pasażerów tramwaju, jak ślaniają się wycieńczeni. Co rano grupa wynędzniałych mężczyzn pompowała wodę do zbiornika. Widać było, że są bez sił. Pod oknami wagonu jechał wózek ciągnięty i popychany przez szkielety ludzkie i wiozący takie same szkielety, tylko już zeszywniałe. Wczesnym rankiem na chodniku leżały jeszcze nie uprzątnięte ciała. Zauważyłem, iż pierwszych kilka domów w getcie na ulicy Brzezińskiej zastało ogrodzonych – również od strony getta – potrójnym płotem z drutu kolczastego. Umieszczono tam Cyganów. Zaczęli oni palić w piecach wszystkim co drewniane. Wkrótce domy te nie miały okien, drzwi, podłóg. Niebawem zabrakło i ludzi.

Do tramwaju miałem trzy kilometry pieszo i musiałem przejść przez tor kolejowy, będący obwodnicą ze Zgierza do Widzewa. Od czasu do czasu spotykałem jadące w kierunku Widzewa pociągi osobowe, wiozące Żydów. Byli bez nadzoru. Jechali po kilku w przedziałach, przy otwartych oknach, w tym dużo kobiet. Dalej w kierunku Koluszek były lasy gąłkowskie. Chodziły słuchy, że tam przeprowadzano masowe egzekucje. Do mojego szefa, dość przyzwoitego człowieka, przychodzili inni znajomi Niemcy, często wojskowi, którzy pokazywali przedmioty ze złota, jakie mogli kupić w komendanturze żandarmerii getta po śmiesznie niskich cenach. Jeden żołnierz pokazał złoty zegarek na rękę kupiony tam za cztery marki, co stanowiło mniej więcej dzienny zarobek prostego polskiego robotnika.

Raz byłem bardzo blisko obok ukrytego skarbu. Dostałem mianowicie polecenie, by dorobić gniazdko pod tynkiem bez uszkodzenia drogocennych tapet i sztukaterii. Mieszkanie było istotnie nieprzeciętnie piękne, bogate i wielkie. Musiał mieszkać w nim jakiś fabrykant lub bankier. Pokój, w którym miałem pracować, miał ściany pokryte błyszczącymi, tkanymi tapetami o pięknych wzorach. Sufit cały w kasetonach z malowidłami, podłoga pokryta egzotycznymi gatunkami drewna, tworzącymi wymyślne wzory. Od małego dziecka z zamiłowaniem rysowałem, malowałem i rzeźbiłem, a gdy trochę

podrosłem budowałem coraz doskonalsze modele samolotów i okrętów. W rezultacie dobrze opanowałem prace ręczne i z nabożeństwem odnosiłem się do artystycznych dzieł przekraczających moje możliwości. Dlatego tak oczarowało mnie to mieszkanie. Zacząłem ostrożnie odginać tapetę na łączeniach, przecinać warstwy podkładowe i kuć rowek pod kable. Gdy doszedłem z kuciem pod sufit, nagle pod uderzeniem młotka tynk zapadł się i powstała duża dziura. Napchałem w tę dziurę papieru, położyłem kabel i najlepiej jak mogłem zalepiłem wszystko, odtwarzając uszkodzone fragmenty sztukaterii. Zupełnie niespodziewanie kazano mi poprawić to co zrobiłem. Kiedy dozorca wprowadził mnie ponownie do mieszkania, całkowicie zdębiałem: w miejscu mojego kunsztownego zalepiania widniała wielka dziura, a przewody wisiały bezwładnie. Dozorca wyjaśnił, że przyjechało Gestapo z byłym mieszkańcem, który wskazał miejsce ukrycia skarbu – właśnie tam gdzie kułem. Niemcy zabrali całą zawartość skrytki, wsadzili Żyda do samochodu, gdzie prawdopodobnie czekała jego żona i dziecko, po czym pojechali razem w nieznane miejsce.

Żydzi uciekali również z getta. Jeśli uciekali na wschód, to przekradali się uliczkami naszego osiedla. I tutaj byli wyłapywani. Robili to żandarmi z posterunku lub konnej szkoły. Celował w tym nasz sąsiad, ustanowiony komisarzem osiedla. Zaczajał się odpowiednio uzbrojony, chwycił nieszczęśników i odprowadzał na żandarmerię.

Getto powoli pustoszało. Jesienią 1944 roku było już niezamieszkałe. Zaraz po ucieczce Niemców spotkałem szukającą pomocy młodą Żydówkę, dość tęgą i dobrze wyglądającą. Opowiedziała mi, że była zatrudniona wraz z grupą około pięciuset młodych Żydów i Żydówek do porządkowania pustego już getta. Jedzenie nie było głodowe. Wraz ze zbliżaniem się frontu Niemcy rozpoczęli likwidację tej grupy. Ocalało 25 osób, które w porę wyczuły sytuację i poukrywały się. W ciągu niecałych pięciu lat z 800 tysięcy mieszkańców pozostało w getcie 25 osób.

Jurko

Przybył ze Lwowa. Był radiotechnikiem i pracował w małym warsztacie naprawczym, którego właścicielem był nadbałtycki Niemiec, mówiący do swoich pracowników chyba po białorusku i mający opinię szpicla z zamięłowania. Szczególnie pilnował, aby żaden pracownik nie słuchał zagranicy. Nie było z tym żartów, bo mogło to kosztować życie. W naszym warsztacie też pracował radiotechnik i też ze Lwowa, choć oficjalnie nie znali się. Radia naprawiane były w oddzielnym pokoju. Za to przed naprawą i po niej, przetrzymywane były w ogólnym warsztacie, gdzie każdy miał łatwy dostęp. Były więc dość dobre warunki do słuchania zagranicy. W rezultacie słuchałem dość często, szczególnie w czasie południowego posiłku. Wyczułem, że Jurko mnie obserwuje i istotnie wkrótce zaproponował współpracę przy słuchaniu radia. Przyjechał do mnie na osiedle w niedzielę. Rozmawiając dłuższy czas w ogrodzie ustaliliśmy zasady przekazywania informacji oraz warunki bezpieczeństwa. Streszczenie audycji przekazywałem na kartce do umówionych schowków. Ostatnią przekazałem z informacją o zajęciu Majdanka. Ta kartka nie została odebrana. Jurko zniknął i nigdy go więcej nie spotkałem. Potem doszły do mnie dwie wersje: że musiał uciekać zadenuncjowany przez szefa i że zginął w czasie akcji na Chojnach.

Pomorzanka

Zostałem wysłany do założenia instalacji elektrycznej w małym mieszkaniu na przedmieściach Łodzi. Mieszkań bez elektryczności było dość dużo. Stawało się to uciążliwe wobec braku nafty i niewygody z lampami karbidowymi. Elektryczność dostarczana właściwie bez ograniczeń, po znośnych cenach, umożliwiała korzystanie z maszynek do gotowania, żelazek i piecyków. Kto tylko mógł zakładał elektryczność. Byli to prawie wyłącznie biedni ludzie, z reguły Polacy. Niemcy dawno pozajmowali sobie dobre mieszkania po wysiedlanych Polakach lub Żydach. Pod wskazanym adresem mieszkała bardzo młoda, zapewne tylko kilka lat starsza ode mnie kobieta z niemowlęciem. Mieszkanie było istotnie bardzo biedne i małe. Składało się z pokoju i kuchni oraz sionki, do której z parteru dochodziły wąskie, drewniane schody. Od początku coś mi nie pasowało. Kobiety polskie mogły wychodzić za mąż po 28-mym roku życia. W rodzinach polskich nie spotykało się niemowląt, bo wychowanie ich było trudne. Młoda kobieta mówiła od początku tylko po polsku, ale na stole zobaczyłem żywnościowe kartki dla Niemców. To wyjaśniało sprawę jednoznacznie. W mieszkaniu nie było jednak ani portretu, ani popiersia Hitlera, co wystawiał na pokaz każdy Niemiec. Nie było również poduszki z przypiętymi breloczkami, znaczkami i innymi dyrdymałami rozdawanymi w czasie organizowanych aż do znudzenia kwest ulicznych. Kobieta wprost opiekowała się mną, przygotowywała herbatę, częstowała obiadem. Była jednak niesłychanie spięta, milcząca, pełna tragicznego smutku, patrząca załzawionymi i zaczerwienionymi oczami. Pomyślałem, że mąż jej zginął na froncie, co było zdarzeniem dość powszednim.

Pracowałem ze trzy dni i na zakończenie poinformowałem ją o dalszym postępowaniu, w celu załączenia prądu. Zupełnie niechcący spytałem, gdzie znajduje się mieszkanie, do którego dostałem nowe zlecenie. Wymieniłem adres i nazwisko. To co nastąpiło, było zupełnie nieoczekiwane. Kobieta dostała spazmów, długo nie mogła się uspokoić i opanować. Wreszcie powiedziała, że idę do znanego w okolicy konfidenta Gestapo – kobiety, która chociaż jest Polką, denuncjuje z dużą gorliwością. A potem opowiedziała o swojej tragedii. Ona i jej mąż pochodzili z bogatych właścicieli ziemskich z okolic Bydgoszczy. Rodzice ich, chcąc zachować majątki, przyjęli niemieckie listy jako Pomorzanie, choć byli i czuli się Polakami. Mąż został wzięty do wojska i wysłany na front wschodni, skąd zdezerterował. Zamieszkali razem w bezpiecznym – jak im się wydawało – miejscu. On nie wychodził w ogóle, a jednak go odkryto. Przyszedł gestapowiec i kazał mu iść ze sobą. Kiedy się żegnali gestapowiec strzelił mężowi w serce. Zmarł na jej rękach w ciągu piętnastu minut. Upewniła się, że zaszpiclowała męża wspomnianą sąsiadką. Tak Niemcy karali swoich dezertorów. Tak ginęli ludzie, których tragiczne sploty wypadków topiły w morzu nieszczęść.

Zbombardowany pan profesor

Wielu Niemców z Rzeszy poszkodowanych podczas bombardowań, przeniesionych zostało wraz z rodzinami do Łodzi, gdzie jak dotąd nie było nalotów. Dostawali dobre mieszkania z pełnym wyposażeniem. Niemcy budowali również nowe osiedla w swoim koszarowym stylu. Na osiedlu Stoki postawiono w krótkim czasie duże osiedle wyposażone we wszystkie udogodnienia.

Przekazywane mieszkania wymagały często prac murarskich, malarskich i elektro-instalacyjnych. Spotykały się wtedy całe ekipy, już znajome, odnawiając i modernizując takie mieszkanie w ciągu paru dni. Przesiedleńcy z Rzeszy zachowywali się zwykle poprawnie w stosunku do nas. Nie pozowali na nadludzi, zwracali się normalnie bez tego szczekającego wrzasku. Mieli też inną odróżniającą ich cechę – zawsze słuchali komunikatów w radioodbiornikach, zaczynających się od wypowiedzianych grobowym głosem słów: „Uwaga, uwaga! Ciężkie nieprzyjacielskie związki lotnicze lecą na...”. Przypominało mi to nasze polskie: „Uwaga, uwaga. Nadchodzi lub przeszedł”. Jedno było na pewno wspólne: tak we wrześniu my, jak obecnie Niemcy odczuwaliśmy na własnej skórze efekty panowania w powietrzu przeciwnika.

Latem 1944 roku spotkaliśmy się całą grupą w pięknym, wielopokojowym mieszkaniu, położonym w centrum miasta. Wprowadzał się do niego „Herr Professor” – jak go tytułowano – z wyglądu przypominający Goebbelsa, władczy tonem dyrygujący rozstawianiem mebli, aparatów i eksponatów. Murarz właśnie wywiózł gruz po rozwalonych ściankach działowych i przymierzał się do załatwienia tynku na suficie. O nic się nie pytając, dobrał sobie stylowy stolik o pięknym, intarsjowanym blacie, grubo już wytartym. Postawił na niego swój „kalfas” z wapnem i stojąc na stoliku zaczął chlapać sufit. Nadszedł pan profesor. Gdy zobaczył co się dzieje zaczął ryczeć, wymyślając mu od najgorszych. Zepchnął murarza ze stolika, a kiedy ten się podniósł, zaczął go bić po twarzy rękoma, a potem jakimś kijem. Pokrwawił człowieka poważnie. Obserwujące zajście asystentki w białych fartuchach, były wyraźnie usatysfakcjonowane. Patrzyły z aprobatą i uznaniem na swego pryncypała, nie wykazując nawet śladu litości czy współczucia. Pan profesor obejrzał stolik. Następnego dnia przyszedł stolarz, zdarł starą politurę i rysy, nałożył nową, robiąc kompletną renowację stolika – oczywiście za głodową tygodniówkę pokrwawionego murarza. Był to typowy przykład niemieckiego działania w stosunku do Polaka. Niemiec był w jednej osobie prokuratorem, sędzią i egzekutorem kary. Miał zawsze rację, a będąc z reguły uzbrojony, mógł każdy ruch obronny czy chęć ucieczki karać śmiercią bez konsekwencji dla siebie. Ale i ja miałem chwilę satysfakcji, bo gdy założyłem antenę i podłączyłem odbiornik do sieci, w krótkim czasie rozległo się znane: „Achtung, achtung”, a dalej, że bardzo liczne, ciężkie nieprzyjacielskie formacje lotnicze lecą w kierunku na Poznań. Pan profesor stał się nerwowy, jego babskie otoczenie też. Z rzadkimi minami wypytywały, jak to jest naprawdę z tym bombardowaniem w kraju Warty.

Było już słyhać samoloty. Warkot był inny, delikatny o wysokim tonie. Nie zszedłem do schronu, lecz wspiąłem się na dach, tam gdzie zakładałem antenę. To co zobaczyłem przeszło całą moją wyobraźnię. Na północnym niebie widać było lecące srebrzyste cztero- i dwusilnikowce. Nie leciały w żadnym szyku. Z mojej perspektywy były to kłęby, roje czy chmary samolotów, setki albo nawet tysiące. Pojedyncze sztuki odłączały się od rojów i łukiem przelatowały nade mną. Musiały to być te sławne, najszybsze ze wszystkich dwumotorowców – Mosquito. Niemiecka artyleria nie oddała ani jednego strzału, nie spadła żadna bomba. Samoloty w kilku grupach odleciały na wschód.

Następnego dnia kupiłem gadzinową gazetę, w której Niemcy pisali, że samoloty te wylądowały pod Połtawą, a tam bohaterska Luftwaffe zniszczyła je całkowicie na ziemi. Natomiast Alianci informowali o użytkowaniu lotnisk w ZSRR.

Radogoszcz

Było to urocze osiedle położone wśród drzew, tuż za północną granicą miasta. Dominowały wygodne wille i skromniejsze, jednorodzinne domki. Dojeżdżało się już podmiejskim tramwajem, kursującym drogą wiodącą z Łodzi do Zgierza, a dalej do Ozorkowa. Przy tej drodze stał budynek fabryczny, w którym Niemcy urządzili więzienie. Były to trzy kondygnacje hal fabrycznych. Całość otoczona była szczelnie wysokim murem i zamknięta na głucho metalową bramą. O tym więzieniu nie mówiło się wiele.

Aż przyszło lato 1945 roku. Rosjanie gnietli Niemców i zbliżali się do linii Wisły. Wszystko zaczynało być jasne, nawet dla mniej rozgarniętych i sfanatyzowanych Niemców. I właśnie w tym czasie zostaliśmy wysłani do założenia reflektora na dachu klatki schodowej więzienia. Wpuszczono nas na podwórze, dodano strażnika i poszliśmy po schodach do góry. Wcześniej strażnik poinformował nas, że nie wolno rozglądać się, rozmawiać z kimkolwiek, przekazywać jedzenia. Za wszystko grozi „pif-paf”. Na każdym piętrze klatki stał z obsługą karabin maszynowy. Więźniowie leżeli w identycznej pozycji na gołych pryzkach. Szybko weszliśmy na dach. Tu przydzielono nam do pomocy dwóch więźniów. Jeden miał robić dziury w dachu, a drugi kuć pod kable koło zbiornika z wodą. Zostałem na dachu, a drugi monter doprowadzał kable. Strażnik wysadził głowę przez właz, obserwując mnie i pracującego ze mną jednego z więźniów. Po jakimś czasie schował się sprawdzając tych pracujących niżej. Robił to na przemian, starając się nas zaskoczyć. Po pewnym czasie więzień pokazał na migi, że chce jeść. W torbie z narzędziami miałem dwie kromki chleba, przełożone kotлетem ze zmielonej drobnicy rybnej, ale zapakowane w papier. Więzień zorientował się o co chodzi i zaczął głośno pracować. Uchwyciłem odpowiedni moment, zdjąłem papier, zmiąłem go, włożyłem do kieszeni kombinezonu. Chleb leżał na narzędziach w odpiętej teczce, którą odwróciłem do więźnia. Ale jak on to będzie jadł? Kromki duże i grube, podwójne. Wsadziłem głowę do włazu i zacząłem rozmowę z monterem. Chwycił w mig i ciągnął jak mógł, lecz w sumie tylko kilka zdań. Podniosłem się i ukradkiem spojrzałem na teczkę i więźnia. Chleba już w teczce nie było, natomiast więzień z wybałuszonymi oczami nie gryzł, tylko łykał i to już ostatni kawałek. Niemiec coś chyba podejrzewał, bo wysadził łeb i patrzył badawczo. Wyglądał na poczciwego, starszego już i mocno siwego człowieka, nawet uśmiechnął się. I w tym czasie zatrzęsło się. Najpierw spadły pojedyncze, ciężkie wybuchy. Potem zaczęło się od nich gotować, ciągle z jednego miejsca, gdzie blisko na południowy wschód. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć. Rosjanie przecież nie przeszli jeszcze Wisły. Samolotów nie było widać ani słychać. Niemiec też patrzył z dachu i naraz spytał czystą polszczyzną: „nie widać tam Iwana?” Poleciał na dół. Przez chwilę nie byliśmy pilnowani. Wtedy zamieniłem z więźniem kilka słów. Mówił, że w jest ich tu 521 (lub 512), że leżą całymi dniami na gołych pryzkach, zmieniają pozycję tylko na komendę. Zapamiętałem adres jego rodziny, by przekazać informację. Drugi więzień też zjadł co było. Powrócił strażnik i mówił coś o sabotażu. Po skończonej robocie wyszliśmy głodni, ale zadowoleni. Udało się pomóc rodakom, oszukać bezkarnie Niemców i poczuć się wolnym po przejściu żelaznej bramy. Z niecierpliwością jechaliśmy do swoich, aby dowiedzieć się, co to była za kanonada. Mój sąsiad, zatrudniony w szpitalu, powiedział iż wyleciały magazyny z amunicją w GałkóWKu i jest wielu poszkodowanych.

Z więzieniem w Radogoszczy jeszcze raz zetknęły mnie tragiczne zdarzenia. Dwie córki mojego nieżyjącego już stryja wpadły w czasie wielkiej wyspy łódzkiego AK. Po torturach jedną, starszą, wysłano do obozu, a drugą (siedemnastoletnią) pozostawiono w więzieniu – o ile pamiętam na Łąkowej. W przeddzień wejścia do Łodzi wojsk radzieckich Niemcy zgrupowali więźniów w kolumnie i pognali do Radogoszczy. Kolumna jednak nie doszła na miejsce. Była dwa-trzy kilometry przed Radogoszczą, gdy rozpoczęło się palenie tamtejszego więzienia, ze znajdującymi się w nim ludźmi oraz strzelanie do tych, którzy skakali z okien. Mając taki widok przed sobą i taką perspektywę kolumna rozpierzchnęła się. Niemców było za mało dla opanowania sytuacji, zresztą nie kwapili się już do tego, co opowiadała cudem ocalała kuzynka.

Po wejściu Rosjan poszedłem na przełaj do Radogoszczy. Spalone więzienie z ludźmi – było to coś przerażającego. Trzy i pół tysiąca spalonych żywcem, zastygłych w straszliwych pozach, powykręcanych, popękanych, zwęglonych, leżących zwalami. Jakich strasznych cierpień doświadczyli, nim śmierć ich uciszyła i to w przededniu wolności. Uratował się tylko jeden więzień, który wskoczył do wielkiego zbiornika z wodą i przykrył się namoczonymi kocami. Tak przeczekał cały pożar. Taki widok pozostaje na całe życie, nie można zapomnieć. Trudno wyrzec się zemsty, a jeszcze trudniej przebaczyć.

Obóz Sikawa

Obóz ten zorganizowali Niemcy jakieś dwa lata przed końcem wojny. Wyszli polskich gospodarzy, dostawili baraki, postawili płoty i strażnice, zmontowali bramy i szlabany. Do obozu zamykano na krótko. Można było pójść na sobotę i niedzielę, na cały tydzień lub dwa, nie dłużej jednak

niż trzydzieści jeden dni. Uczono pracowitości, punktualności, solidności, zasad higieny, czyli ogólnie tego, co powinno charakteryzować przydatnego dla Rzeszy niewolnika polskiego. Jeżeli więc jakiś niemiecki kierownik stwierdził, że jego polski podwładny spóźnia się zbyt często, jest zbyt chorowity, zbyt wolno się porusza lub wykazał jakiś inny mankament, wówczas wysyłał go na przeszkolenie. Więzień otrzymywał workowe, zauszone ubranie, drewniaki, krymkę i blaszaną miskę. Bito go kijami lub szpadlami przy każdej okazji i w każdym miejscu. Idąc do tramwaju przechodziłem codziennie koło obozu i oglądałem poranną gimnastykę więźniów, prowadzoną przed drutami dla mężczyzn i wewnątrz drutów dla kobiet i dzieci. Potem grupami szli do pracy, łomocąc drewniakami o bruk, brzęcząc miskami i pokrywami kotłów. Gdy wracałem do domu późnym wieczorem, spotykałem wracające do obozu kolumny. Najbardziej przejmujące wrażenie wywoływała grupa idących trójkami dzieci, wykrzywiających nogi w drewniakach i niosących kotły.

Obóz funkcjonował aż do ostatnich dni. W pamiętny czwartek, gdy Niemcy przygotowywali zbrodnię w Radogoszczy, tuż nad ziemią nadleciały ze wschodu dwa szturmowe Iły i zaczęły siec z karabinów maszynowych po wieżyczkach i wartowniach. Obsługa uciekła. Błyskawicznie opróżnił się obóz. Wszystko co żyło uciekało między naszymi domami i ogrodami. Niedługo po tym nadjechały samochody z benzyną. Ale nie było już nikogo. W oddali gęstniał słup dymu nad Radogoszczą.